



CHASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE
DLA DZIECI.



MYSZ LEŚNA.

Myszka ta, pomimo nazwy swojej, nie zawsze w lesie przebywa; zakrada się tak, jak

i inne jej krewniaczki, do śpichrzów, do gumienn, a nawet i do mieszkań ludzkich i wszędzie szkody wyrządza, bo niczem nie gardzi, z równą chciwością ogryza gałązki i korzonki, zjada zboże jak i wszelkie domowe zapasy, ser, słoninę, masło, mleko. Tak, jak i inne myszy, ona także w dzień zazwyczaj się ukrywa, a w nocy na żer wychodzi.

SIEDZI PTASZEK NA DRZEWIE...

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwnie,
Ze najmędrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje.

Bo szukają dokoła
Tam, gdzie nigdy nie bywa,
Pot się leje im z czoła,
Cierń im stopy rozrywa.

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale,
Tylko w piersi swój własnej,
Nie szukają go wcale.

W nienawiści i kłótni
Wydzierają coś sobie,
Aż zmęczeni i smutni,
Idą przespać się w grobie.

A więc siedząc na drzewie,
Ptaszek dziwi się bardzo,
Chciałby przestrzedz ich w śpiewie...
Lecz przestrogą pogardzą.

El—y.

Z życia wielkiego wojewody.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

PAULINĘ KRAKOWĄ.

(*Ciąg dalszy*).

Świetnym na ów czas był dwór kijowski; małżonką księcia była Barbara, córka Aleksego Kommena, synowca greckiego cesarza, który później sam przez wojska cesarzem ogłoszonym został. Na wspaniałym dworze wschodniego cesarstwa wychowana, wniosła w dom męża, już znany z bogactwa i przepychu, wytworne zwyczaje swojej rodziny, zamiłowanie w sztukach i co szczególniejszém było w jój kraju, poważne obyczaje i szlachetne serce.

Świętopełk považał ją wysoko i ufał zupełnie jój światłu i znajomości świata, to też w urzędzeniu wewnętrzném dworu i w stosunkach z obcymi monarchami, na nią zdawał rozwiązywanie wszelkich trudności, które rozumnymi układami załatwić się dały.

Księżna zezwoliła na przedstawienie sobie wysłańca polskiego króla, skoro tylko kanclerz opowiedział cel jego przybycia, i niezwłocznie Piotr Hugo wprowadzonym został przed jój oblicze. Na wyniosłym krześle siedziała w pośrodku sali Barbara Kommenówna, w bogate jedwabne szaty przyodziana, na głowie miała strój złocisty z lekkich gałązek wzniesiony i ozdobiony barwnymi kamieniami, a od jego szczytu spływała na ramiona przejrzysta, równie złotem przetykana zasłona; szyję jój i ręce zdobiły sznury pereł, a ogromny złoty medal zwieszał się na piersi, słonecznym blaskiem jaśniejąc.

Niżej na dwóch krzesłach, prawie u nóg księżnej, zasiadły starsze jój córki, Zbysława i Marya, obie młode, hoże, w jedwabiach, lecz prościój daleko niż matka ubrane, i na czarnych włosach, jakby koroną otaczających im głowy, białą lekką nosiły zasłonę, przytwierdzoną gładką złotą obrączką.

Zbysława w śnieżnych palcach trzymając

złote czółenko, zwijała na nie purpurowy jedwab, rozmawiając poufale z młodą dziewczicą, co niżej jeszcze zasiadłszy, trzymała przed księżniczką barwisty, a dość zaplątany motek.

Marya, założywszy ręce na kolanach, siedziała milcząca, wodząc tęsknemi oczyma po zgromadzeniu; u nóg jój leżała kształtnie wygięta grecka lira, leez struny jój z kołków pozsuwane, martwe były i nieme.

Księżna Barbara, wysłuchawszy poufnęj relacji ojca Hryhorya, bardzo łaskawie przyjęła młodego posła, wypytując się o dwór polskiego króla i o wybitniejsze na nim osobistości, na co otrzymawszy odpowiedź, poleciała marszałkowi swego dworu, by przybysza z dworzanami i gośćmi zapoznać. Między ostatnimi byli dwaj książęta przemysły, Wołodar i Wasili Rościśławicze, pokrewni Świętopełka, których tenże nie zabrał z sobą na łowy, by jak mówił: „niewiaś samych nie zostawiać,” a właściwie dla tego, by mu wichrowaty Wołodar nie psuł w kniei ładu.

— Radziśmy wam — mówiła księżna — tém bardziej, że nam książę wszystkich zabrał rycerzy, a dla jutrzejszego święta i śpiewacy się widać po kaplicach porzeczodlili.

— Po co śpiewaków? — rzekł dwornie młody Wasilko — słyszeliśmy tu i bez nich jakby niebieskie pienia... I powiódł wzrokiem po paniach dworskich, zatrzymując go dłużej na księżniczce Maryi.

— Pięknie mówicie, książę, o naszych zabawkach, ale dziś i to się nam nie uda — rzekła księżna Barbara. — Zazwyczaj Marya Świętopełkówna prowadzi śpiewy, a dziś rozstroiła się jój lutnia, i naciągnąć jój nie ma komu.

Uważnie tego słuchając Dunin, zbliżył się z ukłonem, ofiarując swoje w tym względzie usługi. Szmer zadziwienia rozszedł się po sali, księżniczka z uśmiechem podała mu lirę, a Piotr, wśród milczenia ciekawych, pamiętny swojej gęśli, nawiązał miedziane druty, wypróbował ich dźwięku i z uszanowaniem oddał lutnię właścicielce.

— Z dziwnego jesteście krajul — zawołał z za krzesła księżniczki popędliwy Wołodar.

— Znacie go?—odrzekł Piotr, podnosząc głowę.

— Nie, ale co tam robią kobiety, kiedy rycerze w struny brząkają.

— Mężowie w obec mężów brząkają u nas w pałasze—odpowiedział Dunin—może się kiedy przekonacie o tém; ale to im nie przeszkadza uprzejmie i niewiastom usłużyć.

Zaczerwieniła się twarz Wołodara, bo znany był z szorstkości swego charakteru i słowa młodego posła wziął za docinek umyślnie do niego skierowany; butnym wzrokiem zmierzył Dunina, odebrał w odpowiedzi wyniosłe jego spojrzenie i radby był zwyczajem swoim zatarg jaki zapłatać, ale księżniczka Marya uderzyła w struny i po jej przegrywce obecne dziewice i niewiasty połączyły głosy w miękki i tęskny chór, urozmaicony pojedynczemi przyspiewkami, przy którym przyjemnie a szybko przeszedł czas na przyjęcie u księżnej przeznaczony, poczem każdy udał się do przeznaczonego mu mieszkania.

Za powrotem Świętopelka, po rodzinnej i urzędowej naradzie postanowiono przyjąć życzliwie odezwę polskiego króla i zadość jej uczynić.—Jaska z Koprzywnicy poselskiego towarzysza wysłał Dunin z odpowiedzią do Bolesława, otoczywszy go zbrojnym i poważnym pocztem, sam zaś pozostał na kijowskim dworze, bo miał sobie poleceném nie wracać przed wybraniem się księżniczki Zbysławy, której z świetnym orszakiem winien był towarzyszyć.

Poczęły się zatem przygotowania do podróży księżęcej córy; bogactwa i przybory, któremi ją darzono zostawały na pieczy szatnych i skarbników, ale przyjęcia i zabawy w księżęcych komnatach ożywiały się coraz bardziej, bo księżna matka zbliżając się do chwili pożegnania z najstarszą córką chciała jej każdy dzień uprzyjemnić i utrwalić w pamięci świetność i powab rodzicielskiego domu.

Śpiewy, przechadzki po sadach, przejażdżki po okolicy, przyjmowanie gości, zwyczajem miejscowym składanie darów narzeczonej i oglądanie przysposobionych szat i klejnotów, zajmowało wszystkie wolne chwile; nakoniec księżna Barbara podała

myśl igrzysk rycerskich, którą skwapliwie przyjęto i szybko do téj uroczystości poczyniono przygotowania.

Na zamkowym dziedzińcu wyrównano obszernie szranki z wrotami po obu stronach, ustawiono w pobliżu ścian zamkowych szerokie ławy kobiercami kryte dla gości i dworzan, a z obszernych kamiennych ganków u okien, książęca rodzina i dworskie niewiasty miały być tych zapasów świadkami. Doświadczeni giermkowie stojąc przy wrotach otwierali je rycerzom mającym ochotę spotykać lub ścigać się z sobą i ogłaszali ich imiona, a ci godzili na siebie rozmałą broń, lub puszczały się na ręcznych koniach w zawody. Przytomni zachęcali walczących głośnemi okrzyki, książę pochwalał zwycięzcę, a kobiety na widok groźniejszych zapasów przysłaniały sobie rękami oczy, lub zwycięzcom na pochwałę klaskały w drobne dłonie.

Różną koleją następowały po sobie igrzyska i rozmaity był los walczących, już to stosownie do siły, zręczności i odwagi, już też zależnie od przypadku, ale w ogóle Dunin i jego drużyna, w której się doświadczeni znajdowali rycerze, liczne odnosili zwycięztwa, a choć starszy książę przemyski śmiałym był i doświadczone, chociaż gorąco pragnął wyższości nad młodym posłem, nie udało mu się przecież najmniejszej nad nim odnieść przewagi.

Po gromadnych wyścigach konnych, w których wszyscy rycerze brali udział i pierwsi do mety dobiegający otrzymywali naznaczone nagrody, nastąpiły pojedyncze gonitwy; dwaj zapasnicy puszczały się jednocześnie od najdalszych szranek, starając się jednego wyprzedzić do księżęcego ganku, gdzie zwycięzcę oczekiwała szarfa lub wieniec ręką jedną z dziewic podany.

Po kilku próbach stanęli obok siebie Wołodar i Piotr Hugon, obaj lekko uzbrojeni i na pięknych siedzący koniach, w oczach obudwóch jaśniał zapał i żądza zwycięztwa, a spojrzenia obu kierowały się jednocześnie ku gankowi księżęcemu, na którego czele zasiadły córy i małżonka Świętopelka.

Przemyski i czerwiński książę wpadający zbrojno to do Węgier, to do Czech znał

zbytek Zachodu i lubował się w nim, nie tylko więc w szatach naśladował przepych niemiecki, lecz i w okazałych koniach, na których nieraz widywał germańskich baronów harcujących na dworskich turniejach; teraz właśnie dosiadł wspaniałego, wielkiego wzrostu rumaka.

Dunin lubo miał z sobą dość pięknych koni, bo się w tém z młodości kochał, nie wybrał żadnego ze swoich, lecz chcąc okazać cześć i wdzięczność swoją dla kijowskiego księcia, który przyjmując bogate dary polskiego króla, obdarzył ze swojej strony hojnie jego posła, i między innemi kilka koni mu podarował, kazał sobie na tę okoliczność podać z nich tego, który mu się najwłaściwszym wydał, i którego wady i przymioty sam wypróbował.

Był to stepowiec dziwnéj piękności i siły, choć nie zbyt wysoki, z rozdętych nozdrzy i wypukłych oczu iskry się sypać zdawały; wstrząsał raz po raz kształtną głową, i niecierpliwie cienkimi nogami przebierał, lecz pod ręką jeźdźcy, którego już siły doświadczył, nie schodził ani na krok z naznaczonego miejsca.

Na dany znak jak dwa burzliwe wichry wznosząc dokoła siebie kłęby piaszczystej kurzawy, puścili się dwaj współzawodnicy, prowadzeni ciekawemi spojrzeniami widzów dopóki dojrzeć ich było można wśród otaczającego ich tumanu, bo później, już tylko jedna chmura toczyła się szalonym pędem aż do połowy mety. Nagle zatrzymało się wszystko, oczy widzów zatoneły niecierpliwie w kurzawie, a gdy ta nieco opadła ukazał się Dunin mocujący się ze swoim biegunem, który nagle w szalonym pędzie wstrzymany żuł niecierpliwie pianą pokryte wędzidło i rwał ziemię kopytami, a u stóp jego dyszał rozciągnięty ciężki fryz, próbując dźwignąć się na grube nogi, co mu się w niezwykłym biegu splątały. Wołodar zerwał się z ziemi prędkiej od swego wierzchozca; brat jego Wasilko nadbiegł z pokojowcem i strzäsali z jego odzieży warstwę pyłu co ją grubo pokrywała.

Zmieszany i rozgniewany Rozciszławowicz spojrział niechętnie na Dunina.

— Za nic wyścig! rzekł, na drugi raz powtórzymy je, bo ja za przegranę nie daję.

— Możemy i dziś ścigać się na nowo, odpowiedział Piotr, bo i ja nie chwytam wygranej, której nie odniosłem.

— Chcieliżbyście zaraz?

— Owszem; więc wracajmy do mety jeżeli wasza wola.

— Odmienimy konie.

— Jak wasza wola. Ja na swoim pojedę.

Zawrócono na dawne miejsce; Piotr zsiadł z konia, poprawił uprząży, popieścił swego stepowca i nie puszczaając z ręki cugli wyniósł się lekko na siodło, oczekując nowego znaku.

Wołodar miał stepowych koni nie mało, kazał więc sobie takiegoż przyprowadzić. Bystry rumak szarpał się w ręku dwóch trzymających go stajennych, i dosiąść się nie dawał, a skoro książę skoczył na siodło, i chwycił podaną mu uździennicę z wszystkich sił ją ściągając, by się na jednej linii z Duninem utrzymać, za danym znakiem wyskoczył z całej siły, lecz na widok towarzysza pomykającego z lewej strony odbił się nagle na prawo i zamiast biedz wytkniętym szlakiem pędził ciągle na prawo, a trzymając się szranek obiegał je wielkim kołem, podczas kiedy zapaśnik jego niedościgłym oku biegiem sadził wprost pod ganek, i silną wiedziony dłonią, zatrzymał się jak wryty w ziemię, podczas gdy jego jeździec pochylał głowę na znak wdzięczności za oklaski, które się hojnie z okien odzywały.

Na krawędzi ganku od samego początku gonitwy zawieszonym był bogato szyty czaprak, przeznaczony na nagrodę dla zwycięzcy; już go dwaj pokojowcy znieśli na dziedziniec, już Piotr pochylał się na siodło dziękując za dar ozdobny, a księżna z córkami skłaniała lekko głowę w odpowiedź, gdy na zziąjanym swoim stepowcu, z rozwianym włosem jak burza przepędził Wołodar po przed ławami widzów; nie mógł zmusić konia do oddalenia się od szranek i dopiero przy jednej z bram gdzie stajenni ludzie czekali cisnął im cugle i z kłutwą na ustach zeskoczył na piasek. Lecz już się tego dnia

nie pokazał na pokojach książęcych, gdzie Dunin zbierał ze wszech stron pochlebne wyrazy za zręczność i siłę w potyczkach dnia tego okazane, i za śmiałość a umiejętność jaką dzikiego zwykle konia zażyć potrafił.

(d. c. n.)

Kościół w Willanowie.

Wielkie to szczęście, gdy miejsce uświęcone drogiemi historycznemi pamiątkami znajduje się w rękach osób, umiejących te pamiątki cenić i szanować. Widok opustoszenia jest zawsze smutny, a cóż dopiero, gdy widok ten budzi wspomnienia dawniej chwały i wielkości. Willanów, letnia rezydencya króla Jana III dostał się w dobre ręce; właścicielka jego, hrabina Augustowa Potocka wszelkich dokłada starań i nie szczędzi kosztów, aby to miejsce pamiątkowe nie upadało, ale przeciwnie zachowało się w takim stanie prawie, jak za czasów króla Jana. Pałac, park, ogród, wszystko jest jak najpiękniej utrzymane, a mieszkańcy Warszawy z największą przyjemnością odbywają latem wycieczki do pobliskiego Willanowa. Macie tu na rysunku piękny kościół, niedaleko od pałacu stojący, niedawno wykonany kosztem hr. Potockiej. Okazały ten budynek nawet w Warszawie zwracałby na siebie uwagę, a i wewnątrz bardzo bogato jest ozdobiony. Kopuła przypomina kościół Ś-go Piotra w Rzymie.

TERMOMETR.

— Ach! jak to dziś gorąco—mówił Kazio—ojciec powiedział, że jest dwadzieścia stopni w cieniu.

— A w zimie, pamiętam—odezwała się Helenka—kiedy był mróz okropny i ty nawet do klasy pójść nie mogłeś, to ojciec mó-

wił także, że musi być chyba ze dwadzieścia stopni. Jakże to być może, żeby i w upał i w mróz było tak samo dwadzieścia stopni?

— Ale bo ty nie rozumiesz, że latem jest dwadzieścia stopni ciepła, a zimą dwadzieścia stopni zimna, to przecież zupełnie co innego.

— Jakże ten termometr może pokazywać i zimno i ciepło, zawsze na stopnie?—mówiła Helenka.

— O tego to już nie wiem—rzekł Kazio—ale pamiętam, że ojciec przyrzekł nam to kiedyś opowiedzieć.

— I gotów jestem zaraz słowa dotrzymać—odezwał się ojciec—to nawet daleko łatwiej zrozumieć, aniżeli o barometrze. Trzeba tylko wiedzieć, że wszystkie ciała na świecie od ciepła się rozszerzają, a kurczą się od zimna.

— Ojezulku—zapytała Helenka—czy i piec się rozszerza, jak się rozgrzeje?

— Niezawodnie, tylko nie widzimy tego, bo to rozszerzenie nie jest tak znaczne, ażeby je od oka można było spostrzedz. Czy uważałaś, że latem, w upał, trudniej włożyć ciasną rękawiczkę, niż zimą?

— To prawda—rzekł Kazio—ale nie przyszło mi na myśl, żeby to moja ręka latem była większa.

— Nie tylko ręce, ale i cały człowiek musi się dzisiaj rozszerzać, tak jest okropnie gorąco—mówiła Helenka—a jednak nie wiadać wcale, żeby ludzie byli więksi. Musi to jednak tak być, kiedy tak ojciec powiada.

— Już teraz wiem wszystko—zawołał Kazio—w termometrze to żywe srebro, co to je ojciec nazywa rtęcią, także się musi od ciepła rozszerzać i wtenczas podnosi się w tej rureczce szklanęj, w której jest zamknięte, a w mróz kurczy się znów i opada. Nieprawdaż, ojeze?

— Doskonale, bardzo z ciebie domyślny chłopiec. Teraz już nie potrzebuję nawet tłumaczyć Helence, jakim sposobem może być dwadzieścia stopni zimna i dwadzieścia stopni ciepła.

— Zawsze jednak nie rozumiem jeszcze doskonale—mówiła dziewczynka—jak to się te stopnie odliczają.

— Zaraz to zrozumiesz—rzekł ojciec.

— Spójrzysz na termometr. Ten, który go robił, nalał najpierw rtęci w rurkę szklaną, którą potem zalutował. Wówczas dla oznaczenia stopni zanurzył rurkę w śnieg topniejący i naznaczył to miejsce, gdzie rtęć stanęła. Następnie zanurzył rurkę w wodę wrzącą i znów zaznaczył drugie miejsce, gdzie w tej chwili rtęć doszła. Podzielił tę przestrzeń na ośmdziesiąt części, czyli stopni; na pierwszym miejscu, tam gdzie śnieg topnieje, napisał zero i także same stopnie ponaznaczał i niżej od zera. Jeżeli więc rtęć w termometrze spadnie na zero, możemy być pewni, że woda zaczyna marznąć.

— Ale do ośmdziesięciu nie może nigdy się podnieść w największy upał, nieprawdaż ojcze?—zauważyła Helenka—bo chyba się powietrze zagotowało.

— Mówiłem wam o wrzącej wodzie, ale nie o powietrzu; każda ciecz potrzebuje odmiennego ciepła, aby się zagotowała, to jest zaczęła parować. Powietrze zaś nie jest cieczą tylko gazem, jakże więc parować może?

— To prawda—rzekł Kazio—ono jest zawsze takie jak para.

— I to jak para niewidzialna, bo taka mgła, co się nad samowarem unosi, nie jest parą prawdziwą, czyli gazem, tylko drobnutkiemi kropelkami wody.

— Jabym bardzo chciał czegoś więcej się dowiedzieć o gazach—rzekł Kazio—ale o termometrze już wszystko rozumiem, kiedy rtęć stanie tam, gdzie jest zero to znaczy, że woda marznie, a na ośmdziesięciu stopniach, to się woda gotuje.

— Taki termometr jest u nas powszechnie używany, zrobił go fizyk Réaumur, dla tego też nazywa się termometrem Réaumura. Inny fizyk, Celsiusz, rozdzielił przestrzeń pomiędzy zerem i wrzeniem wody na sto stopni; jest więc drugi termometr stustopniowy Celsiusza. Trzeci uczony, Fahrenheit, inaczej jeszcze urządził swój termometr; wszystkich stopni dał aż sto ośmdziesiąt, a w miejscu zera położył stopień trzydziesty drugi. Ten termometr w Anglii tylko jest używany.

— Ale, proszę ojca—zapytała Helenka—dla czego w tę rurczkę nie naleją czego innego, tylko zawsze téj rtęci; toż wszystkie

ciecze muszą się tak samo rozszerzać. Można by więc wlać jakiejś ładnej kolorowej farby.

— Czasem zamiast rtęci, nalewają w rurkę termometru wysoku, ale rtęć jest najdogodniejsza, bo się bardzo regularnie rozszerza. Można ją zafarbować na czerwono lub błękitno i wygląda jak ładna farba.

— Ja nie wiem, ojezulku, co to jest takie go ta dziwna żywe srebro, czy rtęć?

— To jest taki metal.

— Metal? a dla czegoż on tak wygląda, jakby jakiś płyn?

— Bo jest roztopiony.

— Jakto roztopiony? kiedy on zawsze taki sam, czy zimno, czy gorąco.

— Wcale nie; na wielkim mrozie, jakich u nas nigdy niema, tylko pod biegunami, na czterdziestym stopniu termometru Réaumur, rtęć zastyga i jest wówczas twarda, jak inne metale. Każde ciało innego stopnia ciepła potrzebuje, ażeby się zamieniło w parę, i innego także aby zastygło i zamieniło się w ciało stałe, twarde. Woda zastyga na zero, rtęć na czterdziestym stopniu zimna.

— Ale dla czegożto, ojcze?

— O, tego i ja nawet nie potrafię wytłumaczyć. Uczeńi od nas poprzestają na tém, że tak jest, nie dochodząc przyczyn.

— Uczeńi nawet od ojca? No, to i my już nie pytajmy.

M. J. Z.

Bajka wschodnia.

Sułtan Omar polował dnia pewnego w wielkich swoich lasach; niewiadomo z jakiego powodu oddalił się od swojego orszaku i znalazł się sam jeden w gęstwinie leśnej. Wtem ogromny dzik przebiegł pomiędzy drzewami. Sułtan podniósł fuzyą, wystrzelił, ale na nieszczęście nie zabił odrazu zwierza tylko go zranił lekko; dzik rozjuszony rzucił się na konia sułtańskiego i tak go straszliwie ugodził ostremi kłami, że rumak wierzgnął i zrzucił jezdca na ziemię. Strzelba była nie nabita, drapieżny zwierz z wściekło-

ścią zwrócił się do bezbronnego sułtana i już, już miał go osiągnąć, gdy z lasu wyskoczył człowiek jakiś ubogo bardzo odziany, ale uzbrojony w nóż potężny, śmiało rzucił się na dzika i przebił go na miejscu zręcznie wymierzonym razem.

— Uratowałeś mi życie — rzekł sułtan Omar, który tymczasem ochłonął z trwogi — kto jesteś i jak się nazywasz.

— Nazywam się Ali — odrzekł ten człowiek, kłaniając się pokornie do stóp wielkiego monarchy — mieszkam w małej wiosce za lasem, jestem nauczycielem w szkółce wiejskiej. Ale nie zawsze, o wielki monarcho, byłem tak ubogim, niegdyś posiadałem rozległe grunta, byłem rolnikiem, zasiewałem znaczną ilość zboża i zbierałem plon bogaty. Ale przyszły ciężkie lata, różne nieszczęścia doprowadziły mnie do nędzy, musiałem grunt swój sprzedać i dziś dla utrzymania rodziny uczę czytać i pisać wiejskie dzieci.

Gdy skończył Ali, sułtan chciał mu odpowiedzieć, ale tymczasem nadjechał orszak jego, a dworacy z przerażeniem wielkim dowiedzieli się o wypadku, który spotkał monarchę, najmniej zajmowano się jego wybawcą; sułtan, dosiadłszy swojego rumaka, zwrócił się łaskawie do niego i rzekł:

— Bywaj zdrow, niezadługo będziesz miał wieści odemnie.

Ali powrócił do domu, a gdy opowiedział całe to zdarzenie żonie, biedna kobieta o mało nie oszalała z radości, bo pewna była, że sułtan wspaniałą jakąś nagrodą obdarzy swojego wybawcę.

— O, teraz już skończy się nasza nędza — mówiła — będziemy znowu bogaci, przenieśliśmy się do wspaniałego mieszkania, a dzieci nasze opływać będą w dostatki.

— Nie cieszymy się zawczasu — odparł Ali — wprawdzie sułtan przyrzekł, że niezadługo wieści od niego mieć będę, ale tacy wielcy panowie wiele bardzo mają na głowie, może też łatwo o mnie zapomnieć.

— To niepodobna — wołała żona — zobaczysz, że jutro spotka nas wielka pomyślność.

Nazajutrz od samego rana żona Alego nie odchodziła prawie od okna, wyglądając poselstwa od sułtana; dzieci także, słysząc ma-

tkę nieustannie mówiącą o jakichś nadzwyczajnych nadziejach szczęścia i pomyślności, ciekawie zaglądały ku drodze, ale dzień upływał, a nikt nie przyjeżdżał. Ali spokojniejszy był daleko od żony i on jednak dziwić się już trochę zaczynał, bo chociaż nie roił sobie żadnych wielkich rzeczy, zawsze jednak czuł, że czyn jego zasługiwał na nagrodę. Nakoniec pod wieczór ukazał się obłok kurzu na gościńcu i jeździec bogato ubrany zajechał przed ubogą chatą Alego. Cała rodzina z bijącym sercem wybiegła na jego spotkanie. Poseł sułtana zsiadł z konia, a zbliżając się z uszanowaniem do ubogiego człowieka, który miał szczęście uratować życie monarchy, wręczył mu małe pudelko, owinięte w kosztowną tkaninę i natychmiast odjechał.

— Co to być może? wołała żona Alego podbiegając do męża, który drżącymi rękoma rozwijał tajemnicze zawiniątko, to musi być brylant nadzwyczajnej ceny; szkoda jednak, że sułtan nie przysłał nam lepiiej wartości jego w złocie, bo będziesz musiał jechać do jakiego wielkiego miasta, aby skarb ten spieniężyć. Żeby cię tylko nie oszukali, trzeba, żebyś się poradził kogo, co się zna na takich kosztownościach.

Ale gadatliwa kobieta nagle krzyknęła przerażona, bo Ali rozwinął tymczasem paczkę, otworzył ukryte w niej małe safianowe pudełeczko i oboje ujrzeni w nim zamiast spodziewanego klejnotu. . jedno ziarnko zboża. Obok pudełka znalazł się papier z podpisem i pieczęcią sułtańską. Był to rozkaz do wszystkich zarządców kraju, aby pozwalali w każdym czasie Alemu zasiewać zboże i zbierać plony na gruntach sułtana, pod tym jednakże warunkiem, aby nie zasiewał nigdy zboża kupowanego, tylko swoje własne wyhodowane przez siebie.

Wówczas żona Alego zaczęła strasznie płakać i narzekać na sułtana, który sobie tak z nich okrutnie zażartował; ale mąż jej nie powiedział ani słowa, tylko poszedł zaraz wyszukać gdzieś w kącie gliniane naczynie, nałożył w nie ziemi i zasadził ziarnko starannie. Żona miała wielką ochotę rozbić naczynie i wyrzucić je za okno, razem z tym osobliwym zasiewem, ale Ali surowo jej

tego wzbronil i odtąd zawsze w chwilach wolnych od pracy polewał i pielęgnował swoją roślinkę, która wkrótce wypuściła kielek zielony i bujnie wzrastać zaczęła. W końcu krzaczek wypuścił kłos, a gdy ten dojrzał nalezyście, Ali ściał go starannie nożyczkami, wykruszył ziarna i przeliczył je; było wszystkich pięćdziesiąt. Zsypał je potem w mały woreczek, a w parę tygodni przekopał grządeczkę w małym ogródku, który miał przy chacie swojej i wszystkie ziarna co do jednego tam zasadził.

Następnego lata nasz Ali miał całą grządkę pokrytą bujnemi kłosami pszenicy; przecinał je wielkimi nożycami, parę godzin pracował nad wykruszeniem ziarna i tą razą zsypał je w spory woreczek. Potem wziął na siebie ubiór swój odświętny, wyjął z ukrytej szufladki papier z pieczęcią sułtana i udał się do pobliskiego miasta, do głównego zarządcy tej prowincyi; przedstawiwszy mu rozkaz monarchyi, Ali prosił pokornie o wyznaczenie gruntu, na którymby mógł zasiać swoje zboże. Uzyskał natychmiast to, o co prosił i zabrał się gorliwie do uprawy kawałka ziemi, który mu wskazał za miastem urzędnik sułtański. Gdy zboże wyrosło i dojrzało, Ali z radością ujrzał się właścicielem pięknego pólka i nie mógł już teraz zbioru swego dokonać nożycami, musiał pożyczyc sierpa u sąsiada, a zebrawszy kilkadziesiąt snopów zboża, wymłócił je i zsypał w wielkie wory. Następnie udał się znowu do zarządcy i znowu ukazawszy pismo sułtańskie otrzymał daleko większe pole.

Mijał rok za rokiem, a Ali coraz rozleglejsze obszary zasiewał zbożem na gruntach królewskich,



Kościół w Milanowie.

choć znaczną część swoich zbiorów sprzedawał. Po kilku latach przeniół się do pięknego mieszkania, przestał uczyć dzieci wiejskie i całkowicie poświęcił się rolnictwu, które mu tak świetne przynosiło plony. Gdy już zasiał tym sposobem wszystkie grunta sułtańskie, znajdujące się w tej okolicy, a zboża mu jeszcze bardzo wiele zostało, udał się do drugiej prowincyi, potem do trzeciej, a wszędzie, na widok podpisu monarchyi i urzędowej pieczęci, pozwalano mu sprowadzać robotników i uprawiać tyle ziemi, ile mu się podobało. Żona Alego już teraz nie narzekała na okrucieństwo sułtana, ale błogosławiła szczęśliwy ów dzień, w którym mąż jej otrzymał szacowne ziarno zboża. Wszystkie jej nadzieje się spełniły, używała wraz z dziećmi dostatków i bogactw, tylko że bogactwa te nie spadły odrazu z darów królewskich, ale zdobyte zostały wytrwałą pracą.

Urzędnicy sułtańscy niespokojnym okiem patrzali na to, jak Ali zagarniał coraz większe pola i coraz bogatsze śpiżnice zapełniał worami zboża, obliczali już zawczasu, za ile lat wszystkie ziemie sułtana przejdą tym sposobem w ręce tego zawziętego rolnika i niezawodnie mogłoby być przyjść do tego. Ale nasz Ali nie był tak chciwy, i kiedy już piękny zebrał majątek, wybrał się dnia pewnego do stolicy i prosił sułtana o posłuchanie. Sułtan od dawna już o nim zapomniiał i nie poznał go wcale, dopiero gdy Ali przedstawił mu papier z podpisem i pieczęcią, rozśmiał się i zawołał:

— A, wiem już wiem, skarżono mi się na ciebie, że wszystkie moje ziemie zagarniasz pod swoje zasiewy. Ale masz do tego zupeł-

ne prawo; ocaliłeś mi życie, a ja dobrowolnie ofiarowałem ci sposób zdobycia sobie za to nagrody i nie żałuję tego. Zasiewaj, dobry człowiecze, zasiewaj spokojnie ile tylko chcesz, a gdybyś nawet do mojego ogrodu przyszedł z workami zboża i grządki kwiatów dołączył do swoich łąnów pszenicy, nie mógłbym ci się sprzeciwić, bo jedno tylko mam sułtańskie słowo.

— Ale ja nie chcę nadużywać twój łaski, wielki monarcho — odrzekł Ali — i właśnie przyszedłem zwrócić ci ten papier, gdyż zebrałem już ogromny majątek, który dla mnie i dzieci moich wystarczy. Mogę nabyć na własność wielkie dobra w okolicy, gdzie się rodziłem i gdzie przyszły na świat dzieci moje; więc nie potrzebuję i nie pragnę.

To mówiąc, Ali pochylił się do nóg sułtana i złożył papier u podnóżka jego tronu.

— Jakto — zawołał sułtan zdziwiony — mógłbyś podwoić, potroić swój majątek, i tak mało masz chciwości, że poprzestajesz na tém, co posiadasz i uważasz to za dostateczne dla siebie? O, jakąż mi dajesz zbawieną naukę, tak szlachetném postępowaniem! Ja właśnie chciałem zebrać wielkie wojsko i wkroczyć w granice sąsiedniego kraju, ażeby podbić kilka miast i wiosek, które chciałem do swego państwa przyłączyć; ale dałeś mi tak piękny przykład umiarkowania, że już tego nie uczynię. Poprzestanę na tém, co mam, nie będę poządał zdobyczy i odwołam rozkazy wydane do wojska.

Tak się też stało; Ali nabył owe piękne dobra, a naród z jego łaski uniknął wojny i cieszył się błogim pokojem.

Pamiętne chwile.

Dzień 17 Lipca rok 1399. I czemuż to tak smutno na zamku krakowskim, jak cienie przesuwają się ludzie po jego komnatach, każdy milczący, każdy blade, posępny, głucho, smutno na zamku; śmiechów nie słyszeć ani piosenek, ani muzyki, za to często o ściany komnat płacz głuchy się obja, lub

ciężkie westchnienie. Czemuż to? wszakże panią tego zamku jest piękna i młoda królowa, wszakże krajowi wojna obecnie żadna nie grozi, czemuż młodź nie korzysta z pokoju? O, bo na zamku wielkie zmartwienie, piękna, młoda królowa Jadwiga od kilku dni leży złożona niemocą.

Ciężkie zasłony u okien nie pozwalają wdrzeć się słońcu do jej sypialni, ciemno tam, smutno; na łożu wyniosłem leży królowa, ręce ma na piersiach złożone, włos czarny spływa jej w nieładzie na ramiona, oczy przymknięte, oddech nierówny; grono dworzan i służebnic otacza łożo, wszyscy zadumani, wszyscy zasmuceni, a niedaleko stoi złocista kołyska, w niej śpi mała Elżbieta Bonifacya, to córka Jadwigi. Dopiero trzy dni jak na świat przyszła; jeszcze prawie nie wie, że żyje, nie przeczuwa, że sieroctwo jej zagraża. . Cicho, głucho w komnacie, panowie śledzą niespokojnie twarz królowej i myśla w duszy:

— Czy przyjdzie ona do zdrowia i kiedy przyjdzie!

Wtém Jadwiga otworzyła oczy i wzrokiem łzawym powiodła w około. Uśmiech smutny okolił jej usta, skinęła głową i dzwignąwszy się nieco z poduszek, rzekła:

— Ostatnie to moje powitanie z wami, żal serce ściska na myśl rozstania, żal i niepokój o losy dwóch narodów świeżo z sobą połączonych, bo na to połączenie widzę, jak chciwem, zazdrośném okiem patrzą sąsiedzi, przeczuwam, że wszelkich starań dołożą, by je rozerwać...

Tu umilkła, zmęczyło ją mówienie, oparła głowę o poduszki i zadumała się smutnie, po chwili dzwignęła się wszakże znowu:

— Polacy, Litwini — rzekła głosem wzruszonym — ofiarą szczęścia własnego, ja was złączyłam, niechże śmierć moja was nie rozdzieli; niechaj Jagiełło, pan mój i mążzonek, nadal wam wspólnie króluje, kochajcie się, życie w zgodzie i jedności, bo na téj zgodzie i jedności, potęga wasza oparta. Jedną miejcie wiarę, jedno prawa, jednego króla, jedną mowę i jedną ojczyznę. . Kochajcie się i pracujcie wspólnie dla sławy Rzeczypospolitej, niech między Polakiem a Litwinem nie

będzie różnicy, w jednych świątyniach się módlcie i z jednych źródeł czerpcie wiedzę.

To mówiąc, sięgnęła do stołu obok łoża stojącego, widać było na nim kosztowną szkatułkę, przysunęła ją do siebie, a położywszy na niej rękę, rzekła znowu:

— Tu zawarte są moje klejnoty, oddaję je narodowi, aby za nie dźwignął upadłą akademią krakowską. Polacy, Litwini! dźwignijcie waszą waszechnicę, uczcie się, bo w wiedzy wasza potęga; dziecinie mój te klejnoty się nie przydadzą, bo ona niebawem za mną do Boga Ojca podąży, on nas obie przyjmie na łono swoje.

To powiedziawszy, padła na poduszki przymknęła oczy i znowu leży cicha, blada z rękoma złożonemi na piersiach, jak do modlitwy. Panowie patrzą niespokojnie.

— Czyżby skonała?—szepcą do siebie. Ale nie, po chwili otworzyła oczy, wzrok łzawy podniosła na wielki krzyż, wiszący nad jej łożem i szepnęła:

— Panie mój, jako gołąbka stęskniona do korabia, tak ja do Ciebie stęskniona powrócę, w Twoje ręce oddaję siebie i dziecię moje, a ziemi tej i ludowi temu, którego panią byłam, pobłogosław! Tu westchnęła ciężko i z tém westchnieniem duch jej uleciał.

O ściany sypialni obity się głuche jęki, płaczą dworzanie, płaczą niewiasty dobrej królowej, bo Jadwiga była aniołem na ziemi: opiekunka biednych i uciśnionych, rozjemczyni swarów i wojen, hojna, sprawiedliwa i rozumna, uwielbianą była tak w Polsce, jak w Litwie... Długo oba narody nie mogły się utulić po jej stracie, a pamięć jej drogą nam zawsze zostanie. W kilka dni potem odbył się wspaniały pogrzeb Jadwigi i jej małej córki, bo tak, jak matka przepowiedziała, dziecina za nią niebawem podążyła. Jagiełło pozostał na tronie, a spełniając wolę zmarłej, podniósł i rozszerzył akademią krakowską.

Teresa-Jadwiga.

PRZYGODY NIEUSTRASZONYCH PODRÓŻNIKÓW

W PUSZCZACH AFRYKAŃSKICH.

(*Dalszy ciąg.*)

Leo zawarczał znowu, wyrażnief i przeciąglief, zerwał się i chciał poskoczyć w krzaki, ale go pan powstrzymał, a obawiając się jakiefś zdrady, pożegnał dwóch młodzieńców.

— Muszę odejść, moi panowie—rzekł głosem przyciszonym—ktoś tu się musi wałęsać w bliskości. Mój Leo dałby mu prędko rady, gdybym go tylko wypuścił, ale na ten raz wolę, żeby Gobi się nie dowiedział o naszej schadzce. Bywajcie zdrowi i czekajcie cierpliwie, bo chwila wyzwolenia niedaleka.

Iwon zbliżył się do ogrodzenia, które się składało z wysokich, kolczastych krzewów, przypadł do ziemi i jak wąż przesunął się przez gęstwinę; zawczasu bowiem urządził sobie to przejście tajemne, o którym nikt oprócz niego nie wiedział. Wierny pies pośpieszył za nim, a szpieg królewski, który usłyszawszy szmer w ogrodzie, czatował przy furtce, ani się domyślił, że zdrajca przemknął mu przed nosem.

XV.

Wyzwolenie. Puszcza. Pogoń. Goryle i słonie.

Minęło parę tygodni, a Iwon nie dawał znaku życia i dwaj przyjaciele bliźcy już byli rozpaczcy, gdy pewnego rana wierny murzyn Mkunia przyniósł im deseczkę bukszpanową, na której wyrżnięte były ostrzem noża następujące wyrazy: „Jeden z krewnych króla umarł tej nocy, rozpoczną się uroczystości pogrzebowe i pijatyka. Skorzystamy z tego i wymkniemy się tej nocy. Bądźcie w pogotowiu; jak tylko Mkunia po was przybędzie, idźcie za nim z całą ufnością. Śmiało naprzód!.. Mam dla was broń i wszystkie przybory.“

Któż zdoła opisać radość obu młodzieńców! wiedzieli oni dobrze, że się narażają na największe niebezpieczeństwa, a gotowi byli na wszystko, byle się z téj strasznej niewoli wyzwolić. Zaledwie odczytali szczególne poselstwo Laeneka, gdy nadszedł rozkaz króla, aby pośpieszali z batalionem swoim uczestniczyć w ceremoniach pogrzebowych. Ciało nieboszczyka wystawiono na placu publicznym, a wszyscy wodzowie i dostojnicy kolejno składali mu hołdy, wedle obyczaju krajowego. Żołnierze uszykowali się szeregiem około katafalku, gromada kapłanów ustawiła z wielką pompą drewnianego bałwana, bożka Maramba i zaczęła przed nim najdziwniejsze tańce wyprawiać. Ciało wysuszone w piecu i oblepione gliną, dla uniknienia zepsucia, miało tak leżeć przez trzy dni, a ludność cała, dla uczczenia zmarłego, obowiązana była przez cały ten czas, tłoczyć się dookoła, wrzeszcząc, tańcząc i nie nie jedząc przez cały dzień; dopiero w nocy rozpoczyna się uczta; wszyscy jedli i pili się wódką i innemi mocnemi trunkami, dostarczanemi ze skarbcza królewskiego. Dopiero dnia trzeciego dostojny nieboszczyk miał być złożony do grobu. Sposobność była rzeczywiście wyborna, bo wśród ogólnego zamieszania łatwo było naszym śmiałkom wymknąć się niepostrzeżenie.

Jak tylko ostatnie promienie słońca znikły na zachodzie, krzyki i tańce ustały nagle i każdy rzucił się chcieć do jada, zastawionego tymczasem przez murzynki. Rozlewano obficie pomiędzy tłumem wódkę ryżową i napój fermentowany z murzyńskiego prosa; jest to gatunek zboża, uprawiany wszędzie w Afryce. Król raczył się tymczasem wraz z rodziną i wyższymi dostojnikami rumem przywiezionym z ostatniej wycieczki. Gdy monarcha zaczął już widocznie tracić przytomność, murzyn Mkunia dał znak młodzieńcom, którzy siedzieli spokojnie pod werandą pałacową i wszyscy trzej wysunęli się cichutko, przemknęli przez kilka uliczek i stanęli w przeciagu kilku minut nad brzegiem rzeki Kongo. Z gęstwiny drzew, rosnących na wybrzeżu, dało się słyszeć przeciągłe warczenie brytana.

— Kto tam? — odezwał się głos Iwona.

— To my—odpowiedzieli razem Barthet i Guillois, drżąc ze wzruszenia.

— Cicho!... i do wiosła—rzekł kategorycznie dawny majtek, a Mkunia wskazał im malutką łódkę na wodzie; siedział w niej już Iwon ze starą murzynką, nazwiskiem Mbu-na, tąż samą, która go kiedyś uratowała i dziś nie chciała za nie się z nim rozstawać.

— Cicho, Leo—szepnął Iwon, głaszcząc psa—czyż nie wiesz, że to przyjaciele?

Roztropne zwierzę umilkło i położyło się spokojnie na dnie łódki, Barthet i Guillois wskoczyli do niej wraz ze swym przewodnikiem. Laenek, nie przemówiwszy ani słowa, podał każdemu z nich karabin, paczkę z prochem i kulami, potem lekko klasnął w ręce. Na ten znak dwoje murzynów pochwytiło wiosła i łódka szybko popłynęła wzdłuż brzegu, kryjąc się pod osłoną wysokich drzew, zwieszających gałęzie ponad wodą. Iwon nakazał wszystkim milczenie, obawiając się, aby który ze sług królewskich nie wyszpigował ich i nie wydał przed czasem; zdaleka dolatywały dzikie hałasy uczty pogrzebowej, noc była tak ciemna, że o kilka kroków nie dojrzeć nie było można, łódka co chwila zaczęła się o kępki trzciny, sterujące nad wodą; wkrótce nastała cisza głęboka, nigdzie już nie dochodził żaden głos ludzki, tylko od czasu do czasu odzywały się ryki dzikich zwierząt, śpieszących do rzeki dla ugaszenia pragnienia. Laenek przewrwał wreszcie milczenie:

— Panowie—rzekł—pierwsza przeszkoda przełamana, gdyż wybraliśmy się w drogę, ale jeszcze nas zewsząd otaczają niebezpieczeństwa. Nie mówię o drapieżnych zwierzętach, które napotykać możemy po drodze; mamy dobre strzelby i potrafimy się bronić. Zresztą będziemy płynąć rzeką o ile można najdłżej, musimy ją jednak opuścić w okolicach, gdzie straszne febry panują, bo febra na rzece Kongo, to śmierć nieunikniona. Ale w téj chwili najgroźniejszym dla nas niebezpieczeństwem jest pogoń; jeżeli Gobi naprowadzi na nas kilkuset żołnierzy, a ja nie zdolam na nich wpłynąć jakimś zabobonnym strachem, to będziemy w wielkim kłopotcie.

— Czy sądzisz pan, że on nas zechce ścigać?

— Tak mi się zdaje; on ma to przekonanie, że wojsko jego pod dowództwem białych ludzi jest niezwyciężone i pewnie nas dobrowolnie nie wypuści. Nie tracę jednak nadziei, że go powstrzyma uroczystość pogrzebowa; u murzynów przerwanie pogrzebu jest wielkim występkiem i nieraz nawet wojnę zawieszają, póki się wszystkie obrzędy nie odbędą. Jeżeli nas Gobi nie dogoni, za dni dwadzieścia najdalej przebędziemy puszcę bezludną i dostaniemy się na wybrzeża rzeki Bankora, gdzie mieszkają plemiona spokojne i gościnne. Przed pięciu laty spędziłem tam kilka miesięcy i było mi bardzo dobrze. Tymczasem, moi panowie, radzę wam położyć się i zasnąć trochę, bo kto wie, czy noc następna nie przyniesie nam nowych wypadków. . Ja wezmę wiosło i wyręczę tę biedną starą, żeby się nie zameczyła, a za parę godzin położę się także. Tylko się przykrycie tą kołdrą, bo wilgoć na rzece jest bardzo niezdrowa.

Dwaj przyjaciele chcieli się także wziąć do wiosła, ale Iwon powiedział, że nie mając wprawy, tylko im przeszkadzać będą; nie było więc co robić, Barthet i Guillois usłuchali dobrej rady i smacznie usnęli. Noc przeszła spokojnie. Gdy młodzieńcy otworzyli oczy, nie mogli powstrzymać okrzyku zdziwienia i zachwycenia. Pierwsze promienie wschodzącego słońca ozłociły szczyty drzew olbrzymich, tworzących rozległe lasy po obu brzegach rzeki. Wspaniały był widok tych dwóch ścian zielonych, które zdawały się sięgać obłoków; dokoła pni i gałęzi owijały się giętkie liany, a masa liści pokrywała wszystko, jakby płaszczem szmaragdowym, mieniącym się cudnie w promieniach słonecznych. Z pierwszym brzaskiem porannym niezmierna ilość ptactwa o piórach jaskrawych przebudziła się w gęstwinie leśnej, i trzepocąc skrzydłami, i świegocąc wesoło przelatywała z gałęzi na gałąź. Ponad powierzchnią wody ukazywały się potworne łby hipopotamów, wyrzucające przed sobą strumienie wody spienionej, kaimany nieruchome, jak kłody drewniane, płynęły leniwie z prądem wody, pozostawiając w powietrzu szczególny zapach piżma, właściwy afrykańskim gatunkom tych zwierząt. Hi-

popotam przebywa wyłącznie w Afryce; na-próżno go szukali naturaliści w rzekach azjatyckich.

— Cóżby to było za szczęście—rzekł Guillois z westchnieniem—gdybyśmy mogli odbywać podróże w tym pięknym kraju, nie śpiesząc się i nie lękając pogoni.

— Ja muszę tu kiedyś raz jeszcze powrócić—dodał Barthet z zapalem. Teraz pojmuje, jaki to urok nieprzeparty ciągnie podróżników do krain zwrotnikowych, pomimo trudów i niebezpieczeństw. Bogactwa przyrody sownie to wszystko opłacają. Nie dziwię się, że taki Barth, Livingstone, Cameron, zapuszczali się mężnie w niedostępne puszcze.

— Nie znam tych ludzi, których pan wspominasz—odezwał się Iwon—ale co do mnie, nie potrafiłbym już dziś wyżyć nie widząc tej wiecznej zieleni lasów i wiecznego błękitu nieba. Pomimo uciążliwych upałów tutejszych, gdybym kiedy opuścił te strony, zdaje mi się, że tęskniłbym zawsze do tej zieloności i do tej ciszy leśnej.

Mówiąc te słowa, Iwon westchnął i zamyślił się. Barthet, który już teraz znał jego historią, miał wielką ochotę zapytać, czy biedny wygnaniec nie myślał o uzyskaniu przebaczenia i o powrocie do kraju, ale odłożył to na później. W parę godzin po wschodzie słońca nasi podróżni postanowili wypocząć nieco, gotując się do dalszych trudów. Wysiedli na ląd, wyciągnęli lekką łódkę z wody i ukryli ją w zaroślach, a potem rozpalili ogień, ażeby sobie jakiś posiłek przyrządzić. Gdy odeszli, pozostawiając niedopalone ognisko, i mieli już wsiadać do łodzi, odwrócili się przypadkiem, a przed oczyma mignęły im jakieś postacie przesuujące się pośród drzew. Niepokój ich ogarnął, lecz wnet spostrzegli, że to były trzy ogromne goryle z jednym małym, usadowione przy dymiących główniach. Straszliwe te zwierzęta wyciągały niezgrabne swoje członki nad ogniskiem i grzały się z upodobaniem.

Podróżni nasi płynęli znowu, nie zatrzymując się przez cały dzień, obawiali się strzelać do zwierząt i ptaków napotykanym po drodze, ażeby pogoni na swój ślad nie naprowadzić. Przed wieczorem wysiedli na

ład, by poszukać źródła czystej wody, a powracając napotkali trzode słońi. Przestraszeni wdrapali się śpiesznie na gałęzie ogromnego baobabu i przesiedzieli tam z pół godziny, póki słońie się nie oddaliły; ostrożność ta wcale nie była zbyteczna, gdyż ociężałe zwierzęta mogłyby ich były strącić przez nieuwagę, nawet bez żadnych złych zamiarów. O zachodzie słońca Laenek skierował łódkę w poprzek rzeki i przepłynął na brzeg przeciwny.

— Tu zatrzymamy się znowu na parę godzin — rzekł — jeżeli Gobi nas ściga, musi postępować ze swojemi murzynami tym brzegiem, któregośmy się dotąd trzymali; bezpieczniej więc będzie dla nas w każdym razie ukryć się na brzegu przeciwnym. Według mojego obliczenia pogoń teraz właśnie dosięgnąć nas może, jest to więc najstraszniejsza i stanowcza chwila, musimy obmyśleć obronę.

Schowano łódkę w zaroślach. Tuż przy brzegu sterczała z wody stromaskała, w kształcie piramidy, mogąca mieć do dwudziestu metrów wysokości.

— Przychodzi mi świetna myśl do głowy — rzekł Iwon — ta skała wygląda zupełnie jak forteca i gdybyśmy się tylko mogli na jej wierzchołku usadowić, pewny jestem, że żaden murzyn nie odważy się przypuścić do nas szturm.

Mkunia z rozkazu pana wdrapał się na skałę i wnet powrócił z doniesieniem, że szczyt tego ogromnego głazu jest splaszczony i zarośnięty krzakami, a dziesięć osób może się na nim pomieścić wygodnie.

— Panowie — rzekł Laenek — nie traćmy ani chwili, przenośmy się tam z bronią i całym rynsztunkiem, jest to dla nas jedyna deska zbawienia, jeżeli Gobi nas napadnie. Teraz nie potrzebujemy się śpieszyć, noc tu przepędzimy spokojnie, czekając dalszych wypadków.

Wszyscy w milczeniu ten rozkaz dowódcy wykonali, a trzymając się ostrych krawędzi szczelin i czepiając się krzaków, wkrótce stanęli na wierzchołku skały. Nikomu się jeszcze spać nie chciało, ale każdy potrzebował spoczynku i milczenie zapanowało wśród

małej gromadki, tylko jednostajny szum rzeki rozlegał się w powietrzu. Wtém nagle pies zawarczał, a Mkunia zerwał się na równe nogi.

— Co to jest? — szepnął Iwon.

— Panie, odpowiedział murzyn równie przyciszonym głosem, trzeba psu pysk zakneblować, bo słychać szmer na tamtym brzegu. To Gobi ze swoimi wojownikami.

Iwon w mgnieniu oka obwiązał pysk brytana skórzanym paskiem i kazał mu się położyć.

— Tam, tam — mówił murzyn, wskazując w stronę rzeki, te czarne punkciki na wodzie, jeden, dwa trzy .. wszystkich jest sześć. To łodzie wojenne.

— Tylko tyle? — szepnął Iwon, który nie miał takich kocich oczu i nic nie widział wśród ciemności. Czy pewny jesteś, że nie ma więcej łodzi?

— Mogę je doskonale policzyć; już słychać wiosła...

Trzej Europejczycy wyteżyli słuch i wyraźnie rozpoznali wśród szmeru fal jednostajne uderzenia wiosel.

— Jeżeli Gobi wybrał się przeciwko nam na sześciu łodziach tylko, to sobie dany z nim rady — rzekł Iwon wesoło — bądźcie spokojni, moi panowie, jesteście ocaleni.

— Ocaleni? — powtórzyli dwaj młodzieńcy z niedowierzaniem.

— Najniezawodniej. Gobi musiał być jeszcze na wpół nieprzytomny po pijatyce, kiedy wyruszył z tak małym oddziałem; bo na sześć łodzi mógł zabrać co najwięcej pięćdziesięciu wojowników.

— A czyż to niedostateczna siła...

— Byłaby zapewne aż nadto dostateczna, gdyby mnie tu nie było — przerwał Laenek — ale pięćdziesięciu murzynów nie porwie się za nic na ludzi, pomiędzy którymi znajduje się Momtu-Sambu. Jestem tak tego pewny, że jutro rano najotwarciej popłyniemy dalej, choćby nam Gobi miał drogę zagrozić.

— Czemuż nie zaraz, w nocy?

— Nie widzieliby mię w nocy, a ja także nie mógłbym ich brać na cel. Ale wśród białego dnia, oho! nie tylko obaczą mój ka-

rabin. Ja się obawiałem, żeby Gobi nie naprowadził na nas z pięćset lub sześćset tych głów baranich, bo wtenczas trudna rada, liczba jest zawsze siłą.

Tak uspokojeni, nasi podróżni cierpliwie czekali rana, a gdy się rozwidniło, spuścili łódkę na wodę i śmiało ruszyli w dalszą drogę. Z godzinę płynęli bez żadnych przygód, gdy nagle ukazały się łodzie napastników, stojące w małej przystani; dwaj młodzieńcy gwałtownego doznali wzruszenia. Ale Laenek uśmiechnął się tylko i z największą obojętnością kazał wiosłować swoim murzynom, chociaż spotkanie było już teraz nieuniknione. Król Gobi musiał być rzeczywiście na wpół pijany, wybierając się na tę wyprawę, bo zebrał ledwo trzydziestu murzynów; sam też czuł zapewne, że taka siła nie była dostateczna do pokonania czarodziejskiej potęgi takiego Momtu-Sambu, i gdy łódka niosąca zbiegów podpłynęła, nie rozpoczął walki, tylko z wyrzutem przemówił:

— Dla czegoż to Mointu Sambu opuścił przyjaciela swego, nie uprzedziwszy go o o tém? Czyż nie opływałeś u mnie w bogactwa i zaszczyty? Czemuż uciekłeś, jak zbrodniarz?

A Laenek odpowiedział bez zająknienia:

— Widać, wielki monarcho, żeś jeszcze się nie wytrzeźwił po pogrzebie dostojnego twego stryjaszka, gdyż pleciesz od rzeczy. Zkądże ci to przyszło do głowy, że ja uciekam? Czyż jestem twoim niewolnikiem, abym nie miał prawa oddalić się na kilka dni, gdzie mi się podoba? Czyż nieraz już nie puszczałem się na oddalone wycieczki, a zawsze jednak powracałem, i tyś nigdy nie gonił za mną jak szalony.

— Wszystko to prawda, ale czy powrócisz i teraz?

— A czemużbym nie miał powrócić?

— Sam?

— Bynajmniej; powrócę w towarzystwie mego psa i tych dwojga starych sług.

— A biali ludzie, czy także na wycieczkę się wybrali?— zapytał Gobi szyderskim tonem.

— Słuchajno ty, głowo barania— rzekł Iwon podnosząc głos.— Wiesz dobrze, że ze mną żartów nie ma. Ja nie znoję, ażeby ci

ludzie, którzy pochodzą z mojego kraju, byli niewolnikami jakiegoś nikczemnego bydlęcia; rozumiesz? Jeśli chcesz, żebyśmy byli z sobą w zgodzie, i żebym powrócił prędko, każ swoim wojownikom, niech mi tu zaraz broń sprezentują tak, jak ich wyuczyłem; a nie zatrzymuj nas dłużej, bo mamy daleką drogę przed sobą.

— A czy powrócisz naprawdę?— mówił Gobi zafrasowany— ty u mnie więcej znaczysz od całego wojska.

— Powrócę z pewnością, jeśli tylko będziesz miał rozum.

Gobi skinął na swój orszak wojenny, murzyni sprezentowali broń, i huknęli po dwakroć: Niech żyje Momtu-Sambul— i łódka pomknęła szybko z prądem rzeki, a gdy odjechali nieco, Iwon rzekł uroczyście:

— A teraz, moi panowie, obyśmy z taką samą łatwością pokonali puszcę i drapieżne zwierzęta.

(d. c. n.)

Łamigłówka zgłoskowa. (T. S.)

Z następujących zgłosek: de e—i—kar—kus—mek—mo—o—ru—ryk—ski—sta—ay—tum—tur—za—ułożyć sześć wyrazów, jak następuje: 1) Stolica Nubii. 2) Malarz holenderski. 3) Założyciel potężnego państwa. 4) Drogi kamień. 5) Naród mieszkający na północy. 6) Część mowy. Pierwsze litery z góry na dół utworzą nazwisko znakomitego podróżnika i zdobywcy, ostatnie, także w tym kierunku, kraj, zdobyty przez niego.

Łamigłówka kryształowa. (K. Gr.)

- 1) Spółgłoska.
- 2) Rzeka
- 3) Miasto w Polsce.
- 4)
- 5) Budowa bardzo starożytna.
- 6) Rzeka.
- 7) Litera.

Rząd środkowy i litery środkowe utworzą nazwisko znakomitego autora powieści i dramatów.

Rozwiązania do Numeru 27-go.

Zagadki kropkowanej:

Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kur-
hanu—

Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewo-
dniczek łodzi.

Tam zdala błyszczy obłok, tam jutrenka
wschodzi—

To błyszczy Dniestr, to weszła lampa
Akermanul

(2-ga strofa sonetu Mickiewicza: *Stepy
Akermaniskie*.

Łamigłówni kryształowej:

M
R O K
D U N A J
K O M I N E K
M O N I U S Z K O
Ś W I S T A K
K R Z A K
O K A
O

Z a g a d k i.

Emma—Era—Eden—Gazeta.

OGŁOSZENIE.

Dla prenumeratorów *Wieczorów*
Rodzinnych są do nabycia w re-
dakcyi następujące dzieła:

Album Willanowa, przepyszne wy-
danie, z opisem *Skimborowicza* i *Ger-
sona* rs. 6 k. —.

Królowie Polscy, dla mło-
dzieży w ozdobnej oprawie.
Poczet złożony z 43 portre-
tów podług rysunku *T. Ma-
leszewskiego* rs. 2 k. 50.

Wydawnictwa *Wł. Nowi-
ckiego*:

Szlachetna zabawa Ser. I. — k. 60.

„ „ Ser. II. — „ 65.

Początki języka . . . — „ 40.

**Jak uczyć początków ję-
zyka** — „ 20.

Podwieczorki u Jadzi,
przez *Jaskółkę* rs. 1 k. —.

Pogadanki naukowe,
przez *M. J. Zaleską* . . . — „ 30.

Wakacje Janka i Zosi . — „ 75.

T. Papi. (Teresa-Jadwiga)

zawiadamia szanowną Publiczność, iż przyjmuje PA-
NIENKI, które chcą pobierać nauki w Warszawie; daje
im opiekę troskliwą i zapewnienia rozmowę w obcych ję-
zykach. Wiadomość przy ulicy Wielkiej Nr. 16.

Treść.—Myszka leśna, (z drzeworytem) —Siedzi ptaszek na drzewie, (wierszyk), przez El—y.—Z życia wielkiego
wojowody, powieść historyczna, przez Paulinę Krakowową, (dalszy ciąg).—Kościół w Willanowie, (z drzeworytem).—
Termometr, przez M. J. Z.—Bajka wschodnia.—Pamiętne chwile, przez Teresę-Jadwigę.—Przygody nieustraszonych po-
dróżników w puszczech Afrykańskich, (dalszy ciąg).—Łamigłówni.—Rozwiązania.—Ogłoszenia.

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznie* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2½. *Miesięcznie* kop 34 i pół.
Na Prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt. *Rocznie* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 2½ w Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14
marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki We Lwowie u Gubrynowicza
Schmidta *Rocz.* 7 zlr. 20 cent. *Kwart.* 1 zlr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: *Rocz.* 8 zlr. 80 cent. *Kwart.* 2 zlr. 20 cent.
w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 zlr. 60 cent. *Kwart.* 1 zlr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: *Rocz.* 8 zlr. *Kwar.* 2 zlr.

Biurow Redakcyi: Ulica Mazowiecka Nr. 8.

Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Іюня 1881 года.—Редакторка и Wydawczyni Ludwika Hauke.

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.